

# I. Luty

## *1. Warkocz*

Warkocz uderzał w moje plecy jak bat, czułam jego ciężar. Tego dnia nie włożyłam czapki, choć lutowy poranek powitał mnie mrozem i śniegiem, który przykrył zamrożone kałuże. Pośliznęłam się zaraz po przekroczeniu progu hotelu, wystarczyło kilka kroków, zbyt pewnych i szybkich, jak się okazało. Wyrznęłam o bruk, aż huknęło. Siedziałam tak przez chwilę i właściwie czułam się całkiem dobrze. Śmiać mi się chciało na widok dwóch taksówkarzy, którzy wyskoczyli z aut i rzucili się w moją stronę. Mieli naprawdę zabawne miny. Tacy przejęci, jednocześnie wystraszeni i zmartwieni. Wydawało mi się, że oglądam ich w zwolnionym tempie, jak w kluczowej scenie filmu sensacyjnego. Poczulałam szarpnięcie i zanim się zorientowałam, odzyskałam pion. Pod moimi stopami nadal była zamrożona kałuża, więc złapanie równowagi trwało dłuższą chwilę. Taksówkarze przyglądali mi się bacznie i na pewno pomyśleli, że jestem pijana. O dziewiątej, w środę. Ostatecznie – dlaczego nie? Każdy ma prawo do tego, by żyć po swojemu. Zastanawiałam się właśnie, czy warto zadać sobie trud i chuchnąć, kiedy jeden z nich klepnął mnie w ramię. Nie cierpię tego. Nie wiem, z jakiego powodu, ale czuję się wtedy jak krowa, chociaż krowę poklepuje się przecież w bok. Chyba. Może dlatego, że nie ma ramion.

– Wszystko okej? – zapytał taksówkarz, ten od klepnięcia.

Przyglądałam mu się przez moment. Nie miał pojęcia, jak trudne pytanie mi zadał. Jedno z tych, na które nie potrafiłam odpowiedzieć tak po prostu. Dotykało zbyt wielu spraw z mojego życia, zahaczało o kwestie, których nie rozumiałam. Mogłabym nawet powiedzieć, że zabołało mnie to pytanie. Mimo wszystko zdobyłam się na odpowiedź.

– Tak.

Nie postarałam się, wiem. Taksówkarz również nie był przekonany.

– Jest pani cała? Nie trzeba karetki?

Karetki? We Wrocławiu wzywa się karetkę do każdego przyglupa, który stłukł sobie tyłek na zamarznętej kałuży? Naprawdę długo mnie tu nie było.

– Nie trzeba – zapewniłam i uśmiechnęłam się szeroko, co na pewno wypadło dziwacznie, o ile nie upiornie. Zmusić się do uśmiechu potrafiłam jak dotąd tylko dla jednej osoby.

Otrzeptałam spodnie ze śniegu i uznałam, że jednak odrobinę boli mnie kość ogonowa, ale przecież nie będę o tym trąbić całemu światu. Ostrożnie zeszałam z zamarznętej kałuży. Grunt to wyeliminować przyczynę nieszczęścia. Uniosłam do góry kciuk w rękawiczce ze sztucznej skóry. Jeden z taksówkarzy zniknął w aucie, drugi podreptał jeszcze chwilę w miejscu i również się ode mnie odwrócił.

– Niezły warkocz – mruknął jeszcze.

Nie mogłam zaprzeczyć. Warkocz rzeczywiście miałam niezły i uznałam, że to właśnie od niego należy rozpocząć wprowadzanie zmian. A zatem nie włożyłam czapki, marzałam i wkrótce rozboleła mnie głowa. Chciałam dać warkoczowi ostatni dzień wolności. Pozwolić mu swobodnie uderzać w moje plecy, wchłaniać wilgoć z powietrza, pokrywać się drobkami śniegu, który właśnie zaczął padać. Szałam przez wrocławski Rynek i usiłowałam trzymać wysoko głowę, wystawiać twarz do zimowego słońca, oddychać

głęboko i z nadzieją czekać na to, że kiedy wyjdę z salonu fryzjerskiego, poczuję się jeszcze lepiej – lżej, wspanialej, pełniej. Bardzo tęskniłam za tym uczuciem. Od dawna już miałam wrażenie, że mój oddech jest płytki i jakiś ciężar nie chce zejść z klatki piersiowej, z ramion i głowy, że obręcz, która ściska mnie za gardło, nie może się rozpiąć. Że moje nogi są z waty, niezdolne do stawiania pewnych kroków. To wrażenie często towarzyszy ludziom w snach, ale mnie nie opuszczało od kilku lat na jawie. Jakbym żyła obok siebie.

Kiedy przekroczyłam próg salonu i podeszłam do konuaru, by wyrecytować formułkę, że byłam umówiona na strzyżenie, fryzjerka spojrzała na mnie z dezaprobatą i wzięła się pod boki. Coś musiało pójść bardzo nie tak. Coś zrobiłam źle. Co?

– Tniemy dla fundacji? – wymamrotała, zerkając na ekran komputera.

Potwierdziłam. Mamrotanie fryzjerki przybrało na sile. Wskazała mi wieszak, a ja posłusznie wysliznęłam się z kurtki. Kobieta zbliżyła się i chwyciła w dłoń mój warkocz. Przez chwilę myślałam, że naprawdę ma ochotę szarpnąć nim tak, bym zatrzymała się twarzą na ścianie, więc na wszelki wypadek uniosłam dłonie. Nic takiego się jednak nie stało.

Fryzjerka westchnęła ciężko i wypuściła warkocz.

– Mówiłam pani przez telefon, że włosy mają być suche – oświadczyła z rezygnacją.

Nie byłam najpewniej pierwszą tępą klientką, która nie słuchała, co się do niej mówi. Pomyślałam o swoich głębokich, filozoficzno-egzystencjalnych refleksjach na temat wolności warkocza i jego swobodnego wchłaniania wilgoci z powietrza. Oczywiście efekt był do przewidzenia. Ideały szlag trafił. Warkocz zamókł, i tyle. Mogłam sobie dumać nad jego wolnością, ostatnim spacerem skazańca przed ścięciem...

– Przepraszam – powiedziałam. Nie umiałam zapanaować nad głosem, więc zabrzmiało to raczej jak pytanie niż wyrażenie skruchy.

Fryzjerka uniosła brwi. Zaprowadziła mnie na fotel – całe szczęście, nie ciągnąc jednocześnie za warkocz, czego się podświadomie spodziewałam – i chwyciła suszarkę, po czym cmoknęła, odłożyła ją i zaczęła rozplatać moje włosy. Naprawdę nie była tym wszystkim zachwycona. Cóż mogę powiedzieć? Postąpiłam głupio.

– Włosy muszą być suche i w ogóle bez sensu pani się trudziła z zaplataniem warkocza, bo ja i tak rozplotę, zaplotę od nowa kilka cieńszych i zmierzę linijką. Tak to ma wyglądać. Jest napisane na stronie. Zapoznała się pani?

Zapoznałam się, ale nie czytałam uważnie. Oczywiście nie powiedziałam tego głośno, tylko rzuciłam jej przeproszący uśmiech – lustro pomagało mi kontrolować mimikę.

– Dokumenty proszę wypełnić, a ja będę suszyć, to może nie spędzimy tu całego dnia.

Skwapliwie przejęłam od niej papier i długopis. Czułam, jak pęcznieje we mnie nieokreślony lęk, kiedy wpisywałam swoje dane w wyznaczone pola i składałam zamasytne podpisy. Dłoń mi nie zadrżała, ale w środku cała się trzęsłam. Rozplecione włosy utworzyły na moich plecach pelerynę. Gorące powietrze z suszarki wybrzuszało ją i spłaszczało, aż wreszcie kasztanowy płaszcz przeistoczył się w lwią grzywę. Położyłam dokumenty na kolanach i wzięłam głęboki wdech. Miałam wrażenie, że w przełyku utkwiło mi ciało obce, a powieki spuchły. Wzdrygnęłam się, kiedy fryzjerka ponownie cmoknęła.

– Dużo tych włosów. I takie kręcone! – oznajmiła, przyglądając im się niemal z niedowierzaniem.

Uznałam, że nie ma sensu komentować spraw oczywistych. Mogłabym powiedzieć jedynie: „No dużo” i „Kręcone,

to fakt”, ale z trudem poruszałam zeszytniałą szczęką, więc sobie odpuściłam. Fryzjerka odebrała ode mnie dokumenty i długopis. Kątem oka zauważyłam jeszcze zamaszysty podpis, pochyłe pismo, duże „A” i „H”. Adela Henert. Adela H., jak tytułowa bohaterka filmu François Truffauta. Decyzja zapadła, ale wciąż miałam możliwość odwrotu. Poczułam na głowie dłoń, która ześliznęła się w dół, place pochwyciły kosmyk i przypięły go nad czołem. Przełknęłam ślinę. Kosmyk zmienił się w warkocz. Po chwili pojawiło się ich więcej. Palce fryzjerki były sprawne, wszystko szło szybko, za szybko. Nie upłynął nawet kwadrans, a moją głowę w całości pokryły warkocze. Zbliżał się moment, po którym nie będzie już odwrotu.

– Tyle tego wyszło – mruknęła fryzjerka. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Sięgnęła po linijkę i zmierzyła długość warkoczki. Chwycała nożyczki. Musiałam ją powstrzymać. Nie byłam zadowolona. Ona szła mi na rękę, pewnie chciała dobrze.

– Proszę zapleść jeszcze raz – wychrypiałam.

– Ale potrzebujemy dwadzieścia pięć centymetrów, takie są przepisy. Z krótszych nie zrobi się peruki. Pani ma długie włosy, i bardzo gęste. Jeśli zetniemy dwadzieścia pięć, to i tak zostanie do łopatek. Uważam, że tyle...

– Proszę zapleść wyżej – sprecyzowałam, a mój głos brzmiał teraz piskliwie. – Tak, by wyszło kolejne dwadzieścia pięć. Razem pięćdziesiąt centymetrów.

– Pani żartuje? Wtedy włosy będą krótkie. Bardzo krótkie. Widziała pani *Interstellar*? Ten film o podróżach w kosmosie? Tam była taka aktorka...

– Wiem, wiem. Właśnie o to mi chodzi.

Miała na myśli Anne Hathaway w roli doktor Brand. Krótko ścięte włosy, gładkie, bez wyrefinowanego cieniowania. Moje oczywiście zaczną się kręcić, ale jeszcze

nigdy nie nosiłam takiej fryzury. Ciało obce w moim gardle urosło. Przecież tu nie chodziło o fryzurę, o włosy, ich długość, w ogóle o urodę. Tylko o coś zupełnie innego. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam. Dziś, siedemnastego lutego, w środę, zaczynałam nowe życie. Wiem, że wszyscy podejmują takie decyzje wraz z końcem roku. Robią postanowienia noworoczne, których lista wydłuża się z upływem lat, aż wreszcie zdają sobie sprawę, że przybywa im jedynie zapisów w kalendarzu, a poza tym nie polepsza się nic. W moim życiu niemal od dekady każdy kolejny rok przynosił coś nowego. Jednak tym razem wszystko zmieniło się ósmego grudnia. Nastąpił koniec, a teraz przyszła pora na początek. Siedemnastego lutego, w środę. Dzisiaj.

Fryzjerka zamieniła się w słup soli – jak żona Lota. Ścisnęła w dłoni nożyczki i patrzyła na mnie z nadzieją. Chciała, bym pozwoliła jej ciąć już teraz. Nie pozwoliłam.

– Proszę zapleść wyżej – powtórzyłam. Wyszło to jakoś żałośnie, biednie.

Fryzjerka odłożyła nożyczki i rozpoczęła od nowa zaplatanie włosów. Nieładnie z nią postąpiłam. Powinnam była powiedzieć od razu, o co mi chodzi, a nie pozwolić jej założyć, że ścinamy dwadzieścia pięć centymetrów, czyli wymagane minimum. Przeze mnie miała więcej pracy. W tej chwili jednak nie sprawiała wrażenia zagniewanej. Musiała coś wyczuć. Nie odzywała się słowem, tylko robiła swoje. Kiedy skończyła, delikatnie poruszyłam głową, a ciasno zaplecione warkocze zafalowały. Uśmiechnęłam się i widziałam w lustrze, że wyszło to niepewnie. Fryzjerka ponownie chwyciła nożyczki.

– To co?

– Jedziemy – powiedziałam szybko, ale głos i tak mi zadrżał.

Na podłogę spadł pierwszy warkocz. Nie miałam jak wytrzeć łez, bo moje dłonie spoczywały na kolanach, pod ochronną fryzjerską peleryną. Nie chciałam się z nią szamotać, zwracać na siebie uwagi. Kolejne warkocze odpadały od mojej głowy, która rzeczywiście stawała się lżejsza, nawet jeśli zdjęłam z niej tylko ciężar fizyczny.

Spojrzałam na siebie w lustrze. Moja twarz była odsłonięta, a ja poczułam się bezbronna.

– Zapraszam do umywalki – odezwała się głucho fryzjerka, którą chyba też wiele kosztowała ta operacja. Nawet jeśli wcześniej przeprowadzała już podobne. – Zrobimy coś z tego.

Pozwoliłam jej „zrobić coś z tego”. A później patrzyłam, jak pakuje moje warkocze w papier i kładzie na nich deklarację, którą podpisałam. Poczulałam chłód na karku.



Nowe życie wymaga nowej oprawy. Z pieniędzy, które dla siebie zachowałam po sprzedaży małego domku, została niewielka suma. W całości wydałam ją na nowe ubrania, proste, ascetyczne, w stonowanych kolorach. Chciałam, by pasowały do włosów. Wróciłam do hotelu, pod którym rano pośliznęłam się na kałuży, przebrałam się w granatowy wełniany golf i ciemne dżinsy, a stare ciuchy, uprasowane i schludnie ułożone, zamknęłam w walizce. Nie pozwalając sobie na przerwę i chwilę niebezpiecznej zadumy, zjechałam windą na parking i władowałam bagaż do auta. Śpiewając po drodze *Hard Rain's a-Gonna Fall* Boba Dylana, zawiozłam swoją dawną garderobę do domu dziecka. Przed budynkiem, przytupując w miejscu, by się ogrzać, czekała już kobieta, z którą umówiłam się przez telefon. Zaprowadziła mnie do małego gabinetu i poczęstowała herbatą. Dopiero

wtedy poczułam, jak bardzo miałam wyschnięte gardło i jak bardzo mój organizm domagał się ciepłego napoju. Cała byłam skurczona z zimna, nerwów i strachu, którego źródła nie potrafiłam określić. Kobieta zatrudniona w domu dziecka na jakimś stanowisku – nie zadałam sobie trudu, by dokładnie sprawdzić jakim – otworzyła przy mnie walizkę i zaczęła przeglądać ubrania. Elementy mojego dawnego życia kłuły mnie w oczy, ale postanowiłam znieść to dzielnie. Po spektaklu z warkoczem było mi nieco łatwiej, choć nie tak, jak się spodziewałam. Ze względnym spokojem popatrywałam na bluzki w żywych kolorach, rozkloszowane spódnice, dopasowane dzinsy i luźne przewiewne spodnie, które lubiłam wkładać na plażę.

– Nie wiem, czy możemy to przyjąć. Ubrania są bardzo... efektowne.

– Ale nie nieprzyzwoite – zauważyłam uprzejmie.

– No nie. Ale...

– Pani podopieczne nie mogą nosić efektowych ubrań?

– Właśnie nie wiem. A powinny? Nie na każdą będą pasować, więc nie obdaruję ich sprawiedliwie. Zaczną się jakieś sceny zazdrości albo... pojęcia nie mam, co jeszcze.

– Może dołączy to pani do jakichś paczek świątecznych? Okolicznościowych? Urodzinowych? Wydaje mi się, że coś pani wymyśli. Na pewno coś sensowniejszego niż ja.

Pociągnęłam łyk herbaty. Kobieta złożyła ubrania i opuściła wieko walizki. Przyglądała mi się przez chwilę, a ja zastanawiałam się, czy dostanę jeszcze herbaty. Bezwiednie zajrzałam do pustego kubka.

– Może jeszcze herbaty? – zapytała.

A mówi się, że ludzie są niedomyślni. Skinęłam głową. Kosmyk krótkich włosów opadł mi na czoło. Kobieta włączyła czajnik i zakrzętnęła się przy komodzie, na której trzymała kawę i herbatę. Kiedy postawiła przede mną kubek



z przyjemnie parującą zawartością, widziałam, że chce mi zadać jakieś pytanie. Domyślałam się nawet jakie.

– Dlaczego pozbywa się pani tych ubrań? Są piękne. Ale zauważyłam, że głównie letnie i wiosenne. Zamierza pani w kolejnym sezonie wymienić garderobę?

Pewnie wzięła mnie za jakąś bogatą, znudzoną damulkę, która co lato musi mieć nową tunikę i spodnie haremki. Nawet jeśli przyjechałam starym fiatem sieną. Siorbnęłam głośno herbaty, żeby nieco zepsuć sobie wizerunek.

– Mieszkałam we Włoszech, na południu – powiedziałam wreszcie, bo nie chciałam dłużej jej dręczyć. – Przez dziesięć lat. Wprawdzie nie panował tam klimat tropikalny, ale jednak było o wiele cieplej niż tutaj. I lato trwało dłużej. Ale teraz przeprowadziłam się do Wrocławia, więc przydadzą mi się zmiany.

Ostatnie zdanie wyszło bardzo symboliczne, ale ona przecież nie mogła tego wiedzieć.

– Byłam raz na południu Włoch. Bardzo mi się tam podobało. W jakim mieście pani mieszkała? Jeśli oczywiście mogę spytać...

– Żadna tajemnica. Mieszkałam w Sperlondze nad Morzem Tyrreńskim. Prowadziłam tam niewielką księgarnię z kawiarnią. A właściwie kawiarnię z księgarnią.

Dodałam ostatnie zdanie, ponieważ wiedziałam, że pewnie i tak o to zapyta. Kobieta pokiwała głową i przez kilka sekund oglądała swoje paznokcie. Zastanawiałam się, czy starczy jej odwagi, by drążyć ten temat.

– Pewnie szkoda było stamtąd wyjeżdżać – powiedziała.

Wystarczyło, ale nie na tyle, żeby pytać o szczegóły. Poczulałam do niej ogromną wdzięczność. Wiedziałam, że kiedyś wreszcie będę musiała opowiedzieć komuś o tym, co się stało, co czułam i nadal czuję. Ale jeszcze nie teraz. I nie jej.

– Oczywiście, że było szkoda, ale nie miałam wyjścia. Tak bywa – odpowiedziałam więc i miałam nadzieję, że to zamknie temat.

Uśmiechnęłam się nawet. Dopiłam herbatę, podziękowałam i zebrałam się do wyjścia. Kiedy wkładałam kurtkę, kobieta zaskoczyła mnie kolejnym pytaniem.

– Może chciałaby pani kiedyś do nas przyjść i opowiedzieć o swojej pracy? To musiało być fascynujące...

– Parzyć kawę i sprzedawać książki? – dokończyłam.

– Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma, tylko wydawało mi się...

– Oczywiście, że to było fascynujące – zapewniłam pośpiesznie.

Nie powiedziałam jej, jak wyglądała moja księgarnio-kawiarnia. Nie wspomniałam o tym, że z okna widziałam morze, a pod budynkiem spadała aż do plaży skała, na której rosły kaktusy. O tym, że mogłam stamtąd dostrzec port i białe żagle, czułam zapach słonej wody i słyszałam szum fal. O tym, że prawie zawsze w szyby świeciło słońce, a ja nie zamykałam okiennic.

– Przyjdę, bardzo chętnie – skłamałam. – I opowiem o swojej pracy.

Kobieta uśmiechnęła się i uściśnęła mi dłoń na pożegnanie. Cieszyłam się, że nie muszę już nic więcej jej tłumaczyć. Naciągnęłam na głowę kaptur i wyszłam w szarość zimowego popołudnia. Dzień jeszcze się dla mnie nie skończył.

Moje włosy pojechały do fundacji Rak'n'Roll, z przeznaczeniem na peruki dla kobiet po chemioterapii. Stąd właśnie podpisywanie deklaracji, zaplatanie warkoczy, mierzenie linijką i zawijanie w papier. Stąd te dwadzieścia pięć centymetrów. Ja oddałam pięćdziesiąt, więc mam nadzieję, że perukarz będzie miał z nich konkretny pożytek. Ubrania przekazałam nastolatkom z domu dziecka. Kiedy siedziałam

za kierownicą i jechałam w stronę Rynku, myślałam o tym, że powinnam poczuć się lepiej. Już. Teraz. Zrobiłam dwie dobre rzeczy, a z początku moje założenia były skromniejsze. Cate Blanchett w filmie *Charlotte Grey* wypowiada zdanie: „Muszę coś zrobić. Jedną dobrą rzecz”. Oglądałam ten film dwunastego grudnia, cztery dni po tym, jak wszystko się dla mnie zmieniło. Nie wiem dotąd, dlaczego wybrałam akurat *Charlotte Grey*. Nie jest to ani najlepszy film z Blanchett, ani najlepszy film o wojnie. Byłam jednak zadowolona z wyboru. Poczulałam się zainspirowana zachowaniem Charlotte i jej „jedną dobrą rzecz”. Powiedziała to, bo czuła, że w pewnej sprawie nie zrobiła wszystkiego, co mogła. Że popełniła błąd. Zupełnie jak ja...

Dokładnie tak czułam się ósmego grudnia – podjęłam decyzję, której nie mogłam i nie mogę cofnąć, i która prawdopodobnie będzie mnie prześladować do końca życia. Od tego czasu, choć minęły tylko dwa miesiące, przeszłam długą drogę. Wiele się mówi o żalobie i ja też sporo o niej czytałam. Moja sytuacja była jednak inna. Nie tylko kogoś straciłam, lecz także... no właśnie – popełniłam błąd. Pomyliłam się. Nie zdążyłam w pełni przemyśleć swojego zachowania. Powinnam wiedzieć, co się może wydarzyć. Sytuacja dojrzewała przecież od ośmiu lat i każdy dzień zbliżał nas do finału, który dla mnie okazał się niespodzianką, ale tak naprawdę był gruntownie zaplanowany. Nigdy nie zostałam poproszona o pomoc. Nie było takiej potrzeby. On bardzo dobrze wiedział, że się nie zgodzę, umiał przewidzieć moją odpowiedź. Nauczyłam się w nim czytać, wszystko, co robił, każdy gest, spojrzenie, nawet westchnienie, potrafiłam właściwie zinterpretować. A jednak... zdołał mnie zaskoczyć. Ten jeden raz. Ostatni.

Mój mąż, Paweł Henert, odszedł ósmego grudnia. Dwunastego, pod wpływem *Charlotte Grey* o twarzy Cate

Blanchett, postanowiłam zrobić – a raczej robić – jedną dobrą rzecz. Wtedy, kiedy się da, i to, co się da. Człowiek lubi sobie powtarzać, że jednostkowy akt niczego nie zmieni. Jeden uczynek, jedna decyzja, jeden głos, jedno słowo – nie mają znaczenia wobec morza innych uczynków, decyzji, głosów i słów. To bzdura. Wszystko zaczyna się od jednego człowieka i jednego gestu. Od jednej rzeczy – dobrej lub złej. Ja postawiłam na dobrą. I miałam nadzieję, że odnajdę w tym wszystkim sens i cel, nawet jeśli nie zwalczę wyrzutów sumienia. Bo przecież wyrzutów sumienia nie da się zwalczyć – można je jedynie uśpić. Zrobiłam dwie dobre rzeczy, ale jeszcze nie poczułam się lepiej. Wtedy pomyślałam, że może wcale nie o moje samopoczucie tutaj chodzi.

## *2. Barbara i Becky Sharp*

Docierało do mnie z wolna, że Wrocław, z którego wyjechałam dziesięć lat temu tuż po studiach, bardzo się zmienił. Teraz nie miałam zbyt wiele czasu na zwiedzanie, ale kiedy zmierzałam w stronę ulicy Włodkowica, w tle mignęła mi imponująca bryła Narodowego Forum Muzyki. Przypomniałam sobie stary budynek filharmonii, szary, przybrudzony od ulicznych spalin prostokąt z przeszklonym frontem. Zrobiło mi się go trochę żal. Nie miałam jednak czasu, by zadumać się nad losem budowli pamiętających dawny ustrój, bo musiałam się skupić na rzeczach bardziej przyziemnych. Na przykład na załatwieniu sobie jakiejś pracy.

Szczerze mówiąc, moja sytuacja finansowa nie przedstawiała się najlepiej w tym pierwszym – pierwszym właściwym – dniu nowego życia. W Sperlondze nie powodziło nam się z Pawłem źle. Mieliśmy mały, trzypokojowy, wygodny domek, a księgarnio-kawiarnia przynosiła przyzwoite dochody. Trudno nas było nazwać bogaczami, ale mogliśmy sobie pozwolić na godne życie, opłacenie wizyt w prywatnym gabinecie lekarskim i regularną rehabilitację, a także na leki dla Pawła. Do tego niezbędny sprzęt, jedzenie i... właściwie tyle. Nie pamiętam, bym przez kilka ostatnich lat wydawała pieniądze na cokolwiek innego, nie zgromadziłam też żadnych oszczędności. Ale potrzeby Pawła były najważniejsze i nad czymś tak oczywistym nawet nie miałam

zamiaru się zastanawiać. Później sprzedałam nasz wtulony w skałę dom. Dla siebie zachowałam niewielką kwotę, by móc przyjechać do Wrocławia, spędzić kilka dni w hotelu i kupić nowe ubrania. I tak po prostu przeżyć przez chwilę, zanim znajdę pracę. Resztę pieniędzy ofiarowałam rodzicom Pawła. Czułam, że to marna forma zadośćuczynienia, ale nie mogłam inaczej postąpić. Nie zorganizowałam pogrzebu, wypełniłam ostatnią wolę mojego męża i pozwoliłam mu pozostać w miejscu, które kochał. A oni wciąż mieli o to do mnie pretensje. I nie lubili mnie, choć właściwie nie wiedzieli, co się naprawdę stało.

Musiałam porzucić rozmyślenia o przeszłości, przynajmniej na trochę. Nie chodziło o to, żebym umarła z głodu i skończyła pod mostem. Spod mostu naprawdę trudno robić jedną dobrą rzecz... Minęłam synagogę, postanawiając sobie w duchu, że przyjdę popatrzeć na nią później, i trafiłam na ulicę Świętego Antoniego. Znalazłam wreszcie miejsce, którego szukałam. Stałam przed księgarnio-kawiarnią o wdzięcznej nazwie Becky Sharp. Wiedziałam, że nie mógł jej wymyślić byle kto. Byłam nią zaskoczona i zachwycona jednocześnie. Serce zabiło mi szybciej, kiedy pchnęłam drzwi i nad moją głową zabrzączał staroświecki dzwonek.

Becky Sharp, wbrew temu, czego się spodziewałam, nie świeciła pustkami. Rozejrzałam się po lokalu i dostrzegłam tylko jeden wolny stolik. Oprócz krzesel goście mieli do dyspozycji także miękkie sofy i fotele, a nawet ekologiczne pufy. Na jednym z nich rozpląszczał się właśnie jakiś wystylizowany okularnik z nosem w książce. To naprawdę krzepiące, że ludzie czytają.

– Pani Henert?

Ocknęłam się z zadumy i oderwałam wzrok od okularnika na pufie. Przede mną stała kobieta, której wygląd przywodził na myśl Sybillę Trelawney z *Harry'ego Pottera*. Z tą

różnicą, że ta tutaj miała nieco mniejsze okulary i włosy w ładnym brązowym odcieniu, trochę przypominające siano. Swoją hipisowską tunikę zestawiała z normalnymi dżinsami, czyli takimi, które można by kupić w zwykłym sieciowym sklepie, niekoniecznie w okolicy Hogwartu. Cała reszta się zgadzała. Kobieta miała pewnie około pięćdziesięciu lat i musiała być Barbarą Konopką, właścicielką Becky Sharp. Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć, ale po prostu mnie zatkało.

– Tak – przemogłam się. – Tak, to ja. Adela Henert.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie i Barbara powiodła mnie do jedyne go wolnego w lokalu stolika. Nagle poczułam się niepewnie. Nie pasowałam do tego miejsca, trochę awangardowego, a zarazem modnego i wprost stworzonego dla nowoczesnych młodych ludzi. Nie tych zagubionych i nieporadnych, ale tych biorących się za bary z rzeczywistością, zatrudnionych w dobrze prosperujących firmach i potrafiących bez wyrzutów sumienia korzystać z życia. Poruszać się po świecie jak po swoim własnym salonie, gdzie cała przestrzeń wydaje się bezpieczna i oswojona. Ponownie rozejrzałam się po Becky. Staroświecki był tu jedynie dzwoneczek nad wejściem. Ludzie, którzy przyszli wypić kawę, zjeść ciasto i poczytać książki, wydawali się zupełnie rozluźnieni. Spędzali po prostu popołudnie – tak jak mieli ochotę. Czuli się dobrze – nie tylko w tym miejscu, ale i w rolach, które odgrywali.

Przypomniałam sobie swoją własną księgarnio-kawiarnię. Nosiła nazwę Giro Tondo, co po włosku znaczy „kółko graniaste”. Przeważnie przychodziły tam te same osoby, z gazetą, z laptopem, z własną książką lub po to, by wybrać sobie coś do poczytania z naszych zbiorów. Sprzedawaliśmy nowości, ale także egzemplarze antykwaryczne, był również regał „biblioteczny”. Chętnie uzupełniali go

miejscowi. Latem widziałam tam więcej obcych twarzy, ale poza sezonem, jeśli chodzi o klientów, niewiele się zmieniało. W Sperlondze, małym miasteczku położonym na skale, nie ma światowych korporacji i świetnie prosperujących dużych firm. Nie ma więc również modnych młodych ludzi, ubranych w designerskie biurowe ciuchy. W ogóle wszystkich mieszkańców nie ma tam zbyt wielu – niewiele ponad trzy tysiące. Co to jest – trzy tysiące? A jednak Włosi, także w słabo zaludnionej Sperlondze, nie lubią siedzieć w domu. Kawa bardziej im smakuje na zewnątrz, niezależnie, czy jest to latte, macchiato czy espresso. Kawiarnia we Włoszech ma zawsze rację bytu. Szybko się o tym przekonałam. Okiennice i drzwi pomalowaliśmy z Pawłem na niebiesko, a raczej – na turkusowo. Wyglądało to pięknie na tle białej fasady.

– Pani Adelo?

Sybilla, to jest Barbara, przyglądała mi się z nikłym uśmiechem. Wyprostowałam się na krześle.

– Tak, przepraszam. Przez tę zmianę klimatu jestem nieco rozkojarzona – wydukałam i skinęłam głową, kiedy młoda dziewczyna postawiła przede mną kawę.

No właśnie – młoda dziewczyna. To był mój główny problem. Ja już nie byłam taka młoda, skończyłam trzydziści cztery lata i nie łudziłam się, że wyglądam na studentkę. A przecież w takich miejscach pracują głównie studenci. Prawda? Barbara zamieszała swoją kawę zaraz po tym, jak wyspała do niej tonę cukru. Podobało mi się, że z taką nonszalancją podchodzi do współczesnych trendów w zakresie żywienia.

– Pani Adelo, proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze, dlaczego wysłała pani do mnie swoje CV.

– Szukam pracy – odpowiedziałam po prostu.

Barbara uniosła znacząco brwi i już wiedziałam, że nie ma sensu jej oszukiwać.



– Rozumiem. Ale ma pani bogate doświadczenie, prowadziła sama podobny interes we Włoszech, zna języki obce...

– Tylko dwa – sprostowałam. – Angielski i włoski. No, może trochę niemiecki, ale musiałabym sobie przypomnieć...

– A zatem pasuje tutaj słowo „języki”. Nie uważa pani? Zachichotałam. Barbara także miała chyba dobry humor.

– Kontynuujmy. Zna pani języki, ma doświadczenie w branży. Nawet jeśli nie w Polsce, to nie szkodzi. Tutaj można się natknąć na tyle absurdów, że i tak nikt nic nie rozumie, łącznie z ludźmi, którzy nigdy stąd nie wyjeżdżali.

– We Włoszech z papierologią jest jeszcze gorzej, zapewniam. Do tego dochodzą jakieś mafie, lokalni gangsterzy, którzy chcą się „zaopiekować” biznesem, miejscowa, zasiedziała od lat konkurencja i inne takie...

– Ale pani jakoś się udało – przerwała mi.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią, popijając powoli kawę.

– Tak wyszło. Trafiliśmy z mężem na miłą starszą panią, która najpierw wynajęła nam mieszkanie na poddaszu, a potem odstąpiła parter, byśmy mogli otworzyć kawiarnię. Później doszły do tego książki. Jeszcze później kupiliśmy sobie w Sperlondze mały domek, ale interes został tam, gdzie go założyliśmy. Właścicielka nie podnosiła czynszu i często walała nas codziennie figami. Wychodziliśmy na swoje.

Barbara przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem.

– Z mężem? – odezwała się wreszcie, z dużą ostrożnością.

No tak, słowo padło. Mogłam bardziej się pilnować. Dopiliśmy kawę i zapatrzyłam się w dno filiżanki. Nie lubiłam takich rozmów, bo zawsze kończyły się na: „Bardzo współczuję”, „To przykre” i tym podobnych uwagach, które nie miały żadnego znaczenia. Coś jednak musiałam jej powiedzieć.

– Nie żyje. Długo chorował – oznajmiłam tylko, tonem, który miał wskazywać, że temat został wyczerpany i należy go zamknąć.

– Rozumiem.

„Rozumiem” zamiast „przykro mi”. Barbara była bardzo konkretna. Nie powiedziałam jej, że kiedy otwieraliśmy kawiarnię w Sperlondze, mieliśmy trochę oszczędności, które udało nam się zgromadzić dzięki dwuletniej ciężkiej harówce w pubach, restauracjach i barach Rzymu, Neapolu i Mediolanu. I o tym, że gdy sprowadziliśmy się do miasteczka na skale, Paweł zaczął już chodzić o kulach, więc – mimowolnie – budził współczucie i stał się w niezamierzony sposób postacią wyrazistą. Wkrótce prawie wszyscy miejscowi wiedzieli, co mu dolega. Nie mam pojęcia, czy to dlatego przychodzili do nas na kawę i po książkę, ale lubię myśleć, że jednak nie.

– Miłe wspomnienia? To jest powód, dla którego chce się pani zatrudnić w pierwszej lepszej kawiarni? We wrocławskich korporacjach ciągle szukają ludzi ze znajomością języków obcych, na pewno coś by pani znalazła.

– Uważa pani Becky za pierwszą lepszą kawiarnię? – zdziwiłam się.

– Becky... – powtórzyła Barbara z bladym uśmiechem.

– To jedna z moich ulubionych książek. *Targowisko próżności*. I postać Becky Sharp też uwielbiam, choć podczas lektury miałam ochotę ją zamordować.

Barbara ponownie rzuciła mi swoje przenikliwe, ale jednocześnie łagodne spojrzenie.

– Adela Henert. Adela H. Oglądała pani ten film? Kto go nakręcił, zaraz...

– *Miłość Adeli H.*? François Truffaut. Oczywiście, oglądałam – zapewniłam natychmiast, bo naprawdę oglądałam ten film, wielokrotnie. Myślałam o nim przecież, siedząc na fotelu fryzjerskim.

– Byłaby pani w stanie pogodzić obowiązki... powiedzmy kogoś w rodzaju menedżera i jednocześnie obsługiwać klientów? Oczywiście nie pracowałaby pani sama, tylko z Zosią. Ale studenci to studenci, wiadomo. Przychodzą i odchodzą. A mnie potrzebny jest ktoś solidny i na stałe. Sama już nie daję rady prowadzić tego interesu i, jak pewnie pani zauważyła, konkurencja jest duża. Kawiarnie we Wrocławiu są zupełnie jak studenci. Przychodzą i odchodzą. Pojawiają się i znikają.

Pokiwałam głową. Oczywiście, że byłam gotowa, a przynajmniej tak mi się w tej chwili wydawało. Opanowało mnie dziwne uczucie. Miałam wrażenie, że dostanę tę pracę dzięki znajomości powieści Thackeraya i filmu Truffaut'a. Zresztą – czy to ważne?

– Nie chce pani najpierw zobaczyć, czy się nadaje? – Nie wytrzymałam.

– Widziałam tu już mnóstwo takich, którzy się nie nadawali, a później sobie radzili. Przyniosę umowę.

Barbara zniknęła na zapleczu, a ja utkwiałam wzrok w ścianie. Wisiał na niej plakat reklamujący serial *Targowisko próżności* z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, z Natashą Little w roli głównej. Zawsze wołałam tę ekranizację od kolorowej, nieco kiczowatej i momentami bardzo niezgodnej z literą wersji Miry Nair. Przez chwilę ja i Natasha Little patrzyłyśmy sobie w oczy. To było dziwne miejsce i dziwne spotkanie, podczas którego przypomniałam sobie jedną z moich ulubionych książek i jeden z moich ulubionych filmów. I jednocześnie nie musiałam tłumaczyć rozmówcy, o co chodzi. Rzadki luksus.

Obok mnie jakaś para właśnie poprosiła o rachunek. Ona kończyła latte, on rozgniatał widelcem na talerzyku okruchy ciastka. Chłopak na pufie obrócił się na plecy, położył sobie książkę na klatce piersiowej i zapatrzył się w sufit.

Zauważyłam, że czytał biografię Williama Blake'a. Z głós-  
ników sączyło się nastrojowe *If I Ever Lose My Faith in You*  
Stinga. Poczułam się prawie dobrze. Usiadłam wygodniej,  
zeszło ze mnie napięcie. Zaczęłam się zastanawiać nad tym,  
czy takich ludzi jak Barbara Konopka, z tapirem Sybilli Tre-  
lawney na głowie, spotyka się w życiu przypadkiem, ale  
nie zdążyłam dojść do konkluzji. Na stoliku wylądowała  
umowa.

Godzinę później wyszłam z Becky Sharp. Miałam pracę.  
Musiałam jeszcze załatwić sobie jakieś mieszkanie.